

## "Domu Łazarza" historia nie całkiem zwyczajna - cz.2

Autor: Jurek Konieczny



### Część 2. Naszyjnik Oblubienicy.

*... podobne jest Królestwo Niebios do kupca, szukającego pięknych pereł, który, gdy znalazł jedną perłę drogocenną, poszedł, sprzedał wszystko, co miał, i kupił ją. (Ewangelia Mateusza 3,45-46)*

Można by pomyśleć, że służba, którą pełniimy, często tak trudna, niewdzięczna a nawet niebezpieczna, to zwyczajne poleganie na dobrych uczynkach. Owszem, wiemy, że Bóg kocha tych ludzi (choć naprawdę nie wiemy, za co), wiemy, że Jemu na nich zależy (choć nie mamy pojęcia, dlaczego) i po prostu posłusznie, zgodnie z poleceniem wykonujemy Jego wolę. Istnieje niebezpieczeństwo takiego podchodzenia do służby i grozi ono każdemu z nas, ale chwała Bogu za to, że dzieli się z nami nie tylko Swoimi „obowiązkami”, ale też Swoimi uczuciami.

Gdy spytałem Pana, dlaczego mamy to robić, dlaczego to takie ważne, usłyszałem w sercu, że dla Niego są oni jak drogocenne perły rozsypane po ulicach Krakowa, i że pragnie byśmy je dla Niego pozbiali i przynieśli do Jego skarbcza, gdyż chce z nich uczynić przepiękny naszyjnik dla Swojej Oblubienicy – prezent na Dzień Wesela Baranka.

Kto z nas, w dzieciństwie czy w młodości, nie chciał zostać poszukiwaczem skarbów? Ja w każdym razie marzyłem o tym i Bóg teraz spełnia moje marzenia. To są prawdziwe skarby, prawdziwe perły, ukryte nieraz na samym dnie.

Odnaleziona w kanałach Gosia, której Pan dał nową rodzinę i która dbała o swój pokój na poddaszu niczym królowa o swój pałac, pomagała mi prowadzić maleńką księgarnię chrześcijańską „Hosanna”. Tam, na zapleczu, między innymi, przygotowywała kanapki dla bezdomnych. Tam oni przychodzili się też umyć, ogolić. Oglądali na video filmy chrześcijańskie, słuchali chrześcijańskich pieśni i muzyki. Wspaniała siostra z naszego Zboru, doktor chemii i naukowiec, przychodziła ich strzyć i głosiła przy tym Ewangelię Chrystusową nie tylko słowami, ale własną postawą i odwagą poświadczając, że wierzy w to, co głosi i że to prawda.

Nie obeszło się oczywiście bez problemów. Mieszkańcy kamienicy, w której mieściła się wspomniana księgarnia, zażądali wyeksmitowania nas z lokalu uzasadniając, tu cytuję: „Tłumy bezdomnych, groźnych ludzi wałęsają się po klatce schodowej, budząc grozę wśród mieszkańców”. Wtedy to, gdy stanęliśmy w modlitwie, zobaczyłem na schodach, przed wejściem, stojącego na warcie potężnego Anioła. Był ogromny, niemal przezroczysty a w rękę trzymał długą na około trzy i pół metra włócznię zrobioną jakby z hartowanego szkła. Bóg strzegł tego miejsca. On sam je wybrał i On go potrzebował. Choć dziś nie ma już ani tej księgarni, ani nawet tej kamienicy, to jednak świadectwa o tym, co Pan tam czynił jeszcze długo będą powtarzane, niczym przepiękny hymn, na Jego cześć.

Pamiętam taki zimny, lutowy poranek, gdy stwierdziliśmy z Gosią, że nie mamy za co przygotować kanapek dla bezdomnych. Codziennie przygotowywaliśmy około osiemdziesiąt do stu bułek, a tu nagle... Było na bułki, margarynę, ale nic poza tym. Może to znak od Pana,

że najwyższy czas skończyć z tym „dokarmianiem”? Najwyraźniej tak! Niemal już pogodziliśmy się z tym smutnym faktem, gdy nagle otwierają się drzwi i wchodzi, niczym defilada, nasi podopieczni dźwigając siatki i torby pełne różnego rodzaju wędlin, kiełbas, salcesonów, pasztetów, szynki i baleronów. Okazało się, że kupcy krakowscy wydawali tzw. ostateczne przyjęcie dla władz naszego miasta i gdy rano nasi przyjaciele zaglądali do tej sali balowej usłyszeli, że mogą sobie zabrać to, co zostało. Żalowali, że nie mieli jak zabrać tego wszystkiego co tam zobaczyli, ale i tak nieźle sobie poradzili. Tylko jak my sobie poradzimy z tymi zapasami? Jeszcze nie przebrzmiało to pytanie a zadzwonił telefon. Siostra Jadzia z naszego Zboru pyta niespodziewanie: „Jurek, nie potrzebujecie przypadkiem lodówki?. Bo wiesz moja sąsiadka...”. Godzinę później instalowaliśmy już na zapleczu księgarni dużą lodówkę. Na bułki nam wystarczyło! A kiedy z dumą przygotowaliśmy wspaniałe kanapki, by wieczorem pójść z nimi na dworzec PKP, po raz kolejny zadzwonił telefon. Dzwonił brat ze Zboru w Nowej Hucie, który wówczas prowadził tam mały, osiedlowy sklepik, - „Zostało mi około trzysta pączków, nie chcecie ich dla bezdomnych?” Kiedy kończą się nasze możliwości, zaczynają się Jego możliwości. Tego doświadczyliśmy wiele, wiele razy.

W szczególnie mroźne dni nosiliśmy na dworzec termosy z gorącymi posiłkami. Nasze siostry i bracia ze Zboru gotowali przepyszne krupniki, bigosy, gulasze, zupy grzybowe i inne wspaniałości. Gorący posiłek przed mroźną nocą, spędzoną później na zimnych klatkach schodowych, w piwnicach czy pustostanach, to naprawdę była nie raz kwestia przeżycia. Pewnego takiego wieczoru, do naszego termosu z krupnikiem ustawiła wyjątkowo długa kolejka zziębniętych, głodnych, bezdomnych ludzi. Nie mogło starczyć dla wszystkich, może najwyżej dla połowy z nich. Kilkoro bezdomnych pomagało nam przy wydawaniu posiłków. Dziewczyny rozdawały plastikowe miski i łyżki oraz chleb, a jeden z braci przechylał termos, ułatwiając mi nabieranie zupy chochlą. Widziałem co się dzieje i modliłem się: „Panie przecież to twoja zupa i Ty przyprowadziłeś tych ludzi! Nie pozwól im odejść głodnymi!” Nie miałem odwagi zaglądać do termosu, po prostu wkładałem tam chochlę i wyciągałem pełną. Wkładałem i nadal była pełna. Wkładałem i ciągle pełna! Raz za razem! Zauważyłem, że pomagający mi brat ze zdziwieniem zagląda do termosu, a ja wkładałem chochlę i ciągle wyjmowałem pełną. Wystarczyło dla wszystkich! Wracaliśmy do naszej kaplicy w milczeniu, ze łzami wzruszenia w oczach. Chwilę czasu upłynęło, zanim odważyłem się spytać: „Czy wy też to widzieliście?”. Wszyscy z powagą skinęli głowami. Gdy opowiadałem później, w Zborze, to świadectwo, nasi bezdomni przyjaciele siedzieli z tyłu, w ostatnich ławkach, z powagą kiwali głowami i głośno potwierdzali: „Tak było, tak było!”. Chwała niech będzie naszemu Panu Jezusowi. On naprawdę i wczoraj, i dzisiaj, i na wieki jest taki sam!

Codziennosc bywała różna. Zdarzały się dni, kiedy w lodówkach zostawało nam tylko światło i inne dni, kiedy z powodu obfitości, nie mogliśmy pomieścić zapasów. Były też dni, kiedy walka duchowa o naszych podopiecznych była szczególnie ciężka i niemalże bolesna, a nam opadały ze znużenia ręce. Bóg uczył nas wszystkich, i w takie, i w takie dni, że jest wierny, że nigdy nas nie zawiedzie. Wszyscy potrzebowaliśmy tej nauki. Któregoś wieczoru, już dość późno, mieszkańcy „Zamkowej” zorientowali się, że nie ma chleba. W lodówkach było co należy, ale o chlebie jakoś dziwnie nikt wcześniej nie pomyślał. Ktoś z nich nagle zaproponował, by po prostu pomodlić się o chleb. Stanęli w kółku, chwycili się za ręce i rozpoczęli jedyną modlitwę jaką znali – „Ojcze nasz...”.

Nim skończyli, usłyszeli pukanie do drzwi i do środka wszedł wspomniany już wcześniej brat z Nowej Huty, dźwigając przed sobą dwa ogromne kosze pełne chleba. Po prostu został mu ten chleb w sklepie i chociaż mógł go rano zwrócić do piekarni, pomyślał: „a może na Zamkowej potrzebują chleba?”. Chłopcy zdali ten egzamin zaufania Bogu na szóstkę. Aż mi

czasami wstyd, że ja nie zawsze tak potrafię.

Artur mieszkał z nami dość długo, potem wyjechał, nie było go kilka miesięcy i nagle, niespodziewanie wrócił prosząc nas o pilną rozmowę. Przyjechał specjalnie z drugiego końca Polski. Przywiózł swoje wyniki badania krwi. Diagnoza jednoznaczna – rak krwi, białaczka. W ręce trzymał też skierowanie na chemioterapię. Był przerażony i zrozpaczony, a Ilonka, mimo swojej wspaniałej wiedzy lekarskiej, nic a nic nie mogła mu pomóc. Pozostała nam tylko modlitwa. Cicha, krótka, można by pomyśleć, że nawet taka trochę, byle jaka. Po kilku tygodniach Artur znowu powrócił. Rumiany, uśmiechnięty, tryskający energią. Ilonka zabrała go na badania krwi i wyniki pokazały, że białaczki już nie ma! Stwierdzono, zanikającą już w jego krwi obecność tzw. młodych krwinek, potwierdzających, że kiedyś był tam ten okrutny rak! Chwała Bogu! To była nasza kolejna, Boża lekcja. Dzisiaj Artur ma żonę, dzieci i nadal podąża za Bogiem. Jest członkiem jednego ze zborów dość daleko od nas, ale z pewnością, nie raz opowiada na Bożą chwałę o swoim cudownym uzdrowieniu.

Być poszukiwaczem pereł, to naprawdę fascynujące zajęcie a szczególnie wtedy, gdy wyraźnie widzimy komu, tak naprawdę, należy się zachwyt, podziw i dziękczynienie.

Jeżeli Was zachęciłem, a przede wszystkim, jeżeli Bóg nam pozwoli, to zapraszam wkrótce na ciąg dalszy wspomnień i świadectw, by nasz Pan Jezus Chrystus był w tym uwielbiony.

Wasz w Chrystusie: Jurek Konieczny